NUMER 25. DNIA 19. CZERWCA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Najzimniejszy klimat na świecie*)

NAPISAŁ

ADAM SZYMAŃSKI.

Piękny i wielki dział wiedzy ludzkiej, zwany geografją — po polsku — ziemioznawstwem, jakkolwiek świetnie zapoczątkowany przez Greków i bardzo starannie uprawiany przez Rzymian, odrodził się najpóźniej ze wszystkich współczesnych działów naszej wiedzy. Twórcami tego odrodzenia byli dwaj niemieccy uczeni, Aleksander Humboldt i Karol Ritter, obaj zmarli w 1859 r.

Dzięki im, nauka geograficzna rozrosła się i stając się coraz bardziej nauką ścisłą, wymagać zaczęła mnóstwa faktów, krytycznie i naukowo zebranych i opracowanych, więc i praca nad dalszem zbieraniem i uogólnianiem tych faktów, będąca do niedawna prawie niepodzielnie w rękach niemieckich uczonych, stawać się zaczęła udziałem uczonych całego świata.

Jednocześnie tedy z odrodzeniem ziemioznawstwa, następuje jak gdyby pewien milczący podział, jak gdyby pewna decentralizacja w pracy nad jego dalszym rozwojem.

Północna Ameryka, południowa Azja, Australja dostają się w wyłączne posiadanie angielskich uczonych. Afrykę badają wspólnie Anglicy, Francuzi i Niemcy. Okolice podbiegunowe, które do niedawna były w posiadaniu angielskiej nauki, teraz jak gdyby stają się wyłącznym terenem skandynawskich uczonych. Północ i środek Azji od 2-giej połowy ubiegłego stulecia stały się prawie wyłączną własnością rosyjskiej nauki. W ostatnich szczególniej czasach rosyjska nauka geograficzna stanęła na takim poziomie, że uczeni innych narodowości we wszystkiem, co dotyczy tych części Azji, rzadko bardzo kuszą się o bezpośrednie badania — nauka świata korzysta ze źródeł rosyjskich.

Opanowanie tych wielkich niedostępnych obszarów trudniejszem było niż podbój polityczny jest tryumfem wiedzy geograficznej wogóle. Otóż wiedzieć winniśmy, że wielki ten swój tryumf nauka geograficzna rosyjska, a z nią i nauka świata zawdzięczają w znacznej mierze nieszczęśliwemu wynikowi naszego ostatniego powstania.

Rok 1863 zaludnił Syberję tysiącami wygnańców i oto po pewnym czasie z pośród szeregów wygnańczych wysuwa się na arenę najszlachetniejszej działalności ludzkiej zastęp bohaterów jeszcze nie widywanych w dziejach świata. Czekanowski i Czerski stają na czele tej drużyny, co płacąc dobrem za krzywdy, rzucając w dar wrogom swą pracę samoofiarną, świadczy i w swej ciężkiej niewoli, że i w tej klęsce strasznej, po tem rozbiciu okropnem — istniejemy i mamy prawo do samodzielnego bytu. — Niezwykły swój rozwój nauka geograficzna w Rosji zawdzięcza całemu szeregowi badaczy i podróżników, których energja, jakiś żywiołowy rozpęd są wprost zdumiewające. Odbywają oni ekspedycję za ekspedycją, podróż za po-

*) Praca niniejsza jest streszczeniem dwóch odczytów, wypowiedzianych w końcu r. u. w Uniwersytecie ludowym w Krakowie. Z powodu wypadków, odgrywających się obecnie na dalekim Wschodzie czytelnicy gazet z zadziwieniem zapewne czytali wiadomości o wielkich mrozach na Bajkale i w Zabajkalu, wiadomości jeszcze w kwietniu starannie podawane przez gazety. Ponieważ Bajkał i Zabajkale są najbliższymi sąsiadami ziemi najzimniejszej na świecie, więc przeczytanie pracy niniejszej wyjaśni, zkąd się te późne mrozy tam biorą i... jak wcześnie one się znowu zaczną.

dróżą, bez odpoczynku i wytchnienia, jakby w jakimś wyścigu mocy i energji ludzkiej.

Otóż i to wiedzieć winniśmy, że i w tem jakby współzawodnictwie szlachetnem polscy badacze Syberji wysunęli się na czoło najdzielniejszych. Jeżeli zaś uwzględni się ciężkie przejścia, poprzedzające ich przybycie do Syberji i samo zapędzenie do tej Syberji w warunkach, często wprost okropnych, to przyznać wypadnie, że niektórzy z tych polskich bohaterów nauki ujawnili taką siłę ducha, jakiej przykłady tylko bardzo rzadko spotykamy w dziejach ludzkości.

Tak więc w pracy nad rozwojem wiedzy geograficznej współczesnej przyjęliśmy i my żywy udział. Nazwiska Czekanowskiego, Czerskiego, Dybowskiego, że pominę już Godlewskiego, Księżopolskiego, Witkowskiego i najmłodszego, Sieroszewskiego, niezatartemi głoskami zapisane zostały w dziejach rozwoju ziemioznawstwa w wieku 19-tym. Przeważna część wymienionych uczonych polskich cierpiała i pracowała właśnie w tej najzimniejszej ziemi na świecie lub w jej pobliżu.

Dzięki tedy złączonym usiłowaniom pracowników, rozrzuconych już teraz po całej kuli ziemskiej, geografja z opisującej stała się nauką objaśniającą opisywane zjawiska, zadaniem której jest wszechstronne, organicznie, przyczynowo związane z sobą poznanie powierzchni naszej rodzicielki ziemi.

Tylko bowiem ta nauka, która stara się przyczynowo objaśnić każde zjawisko i wiąże szeregi zjawisk w pewne jednorodne grupy, może się pokusić o rozwiązanie wielkiego zagadnienia, czy rozwój zjawisk, należących do tej grupy, ulega pewnym stałym harmonijnym prawom i dociec, jakimi są te prawa.

Już bowiem Ritter słusznie zauważył, że wobec wielkiej harmonji, panującej we wszechświecie, trudno nie przypuścić, żeby ta harmonja nie rozciągała się do wszystkich zjawisk, zachodzących na każdej oddzielnej jednostce planetarnej. Tylko wtedy gdy zjawiska, zachodzące we wszechświecie, przesuwają się przed okiem naszem jak w kalejdoskopie i zawsze oglądać je możemy, zjawiska, należące do dziedziny geografji dopiero od niedawna stały się dostępnemi dla nauki. Nauki geograficznej nie można było stworzyć w gabinecie, trzeba ją było zbierać po całej kuli ziemskiej. — Oto dlaczego nauka ta odrodziła się tak niedawno ze swego upadku i dlaczego pomimo w ostatnich czasach wprost olbrzymiego rozwoju jest dopiero w zaraniu swego przyszłego wielkiego rozwoju.

Czy nauka ta odnajdzie prawa, rządzące rozwojem powierzchni ziemi naszej? nikt dziś przesądzać nie może; ale myśl, że to nastąpi, jest ideałem, który ożywia wszystkich pracujących na tem polu; postawienie zaś takiego ideału czyni i z tej gałęzi wiedzy ludzkiej wielką naukę wychowawczą, pogłębiającą umysł i uszlachetniającą charakter człowieka.

Takie wychowawcze znaczenie posiada każda nauka prawdziwa, niektóre jednak lub niektóre specjalne działy pewnych nauk szczególniej wypukle ujawniają tę swoją pożyteczną właściwość. Któż zaprzeczy tej właściwości nie mówię astronomji ale nawet geografji astronomicznej, gdy z najogólniejszego nawet poznania czy to układu wszechświata, czy stanowiska ziemi w tym wszechświecie brzmi jakoby głos żywy: Poznajcie potęgę swego rozumu, uwierzcie w jej moc wielką, korzystajcie z niej, ale nie wbijajcie się w dumę niepomierną, nie zapominajcie o... nicości swojej". Nie do wszystkich jednak dziwny układ ciał niebieskich tak przemawia. I oto niezbadana mądrość świata podaje nam niewyczerpaną skarbnicę środków trafiania w inny sposób do umysłów i serc ludzkich. Jednym z tych środków jest poznanie klimatu ziemi wogóle, a klimatu najzimniejszego na ziemi w szczególności.

Jeżeli poznanie praw, rządzących rozwojem powierzchni kuli ziemskiej, jest wielkiem zadaniem przyszłości, to poznanie niektórych szerszych uogólnień teraźniejszej nauki geograficznej wprowadzi nas odrazu w sam rdzeń pięknej hypotezy Rittera o celowej i harmonijnej budowie powierzchni ziemi i związe naszą rzecz o klimacie cząstki tej ziemi z nauką o całości.

Powierzchnia kuli ziemskiej oprócz powietrza, składa się z wód i lądów, bardzo nierównomiernie pomiędzy sobą i pomiędzy obie półkule podzielonych.

Jeżeli całą kulę ziemską rozdzielimy na 14 równych części, to z 7 części — półkuli północnej 3 zajmuje ląd, a 4 woda, na południowej zaś nie całą jedną część ląd, a więcej, niż 6 części, woda. Wskutek tego półkula północna, zwana lądową, jest cieplejszą, południowa, zwana wodną, jest zimniejsza.

Znane zaś nam dotychczas dzieje ludzkości pouczają, że z g r u p o w a n i e w i ę k s z y c h m a s l ą d o w y c h w j e d n ą c a ł o ś ć b y ł o n i e z b ę d n y m w a r u n k i e m w y p r o w a d z e n i a c z ł o-

wieka ze stanu kultury pierwotnej na stopień kultury wyższej.

Wszystkie lądy większe kończą się ku południowi spiczasto, piramidalnie. Tak się kończą wszystkie wielkie części świata, tylko w Australji forma ta jest mniej wyraźną. I odwrotnie, wszystkie większe lądy ku północy znacznie się rozszerzają, tworząc w okolicach koła biegunowego prawie nieprzerwalny pas lądu, pierścieniem opasujący północną część ziemskiego koliska.

Jeszcze ciekawszym jest inny fakt niewątpliwy, mianowicie, jak gdyby pewna dążność podziemnych, wulkanicznych sił ziemi do zupełnego złączenia tego najdłuższego pasa lądu stałego w jeden nieprzerywalny pierścień, a nawet powiedziałbym, do zlania wszystkich większych lądów świata w jedną nierozerwalną całość.

Dość spojrzeć na mapę i zobaczyć wyspy aleuckie, zwane mostem wulkanicznym pomiędzy Azją i Ameryką, na których istnieje przeszło 50 wulkanów czynnych i które to wyspy nie przestają się wysuwać z głębin morskich.

Działalność podobna istnieje między Europą i Grenlandją, rezultatem tej działalności są Orkady, Hebrydy i wyspy Farerskie, a na Islandji siły wulkaniczne dotychczas są czynne. Archipelag wysp Sundskich jest takimże mostem pomiędzy Azją i Australją, a niedawna katastrofa na Krakatoa świadczy, że i ten most skończony nie jest.

Czy to dążenie jest celowem, czy nie jest wskaźnikiem przyszłych losów ludzkości? Niech każdy sam osądzi.

Następstwem tego rozwoju lądów na półkuli północnej jest wysoki rozwój kultury na niej, a następstwem szczególniejszego rozwoju lądów w okolicach podbiegunowych jest wcześniejsze stosunkowo do ich niedostępności opanowanie tych okolic przez człowieka.

Dzięki temu już w 19. stuleciu nauka geograficzna dowiedziała się o istnieniu dwóch najzimniejszych okolic ziemi. A ponieważ sprawdzono, że dalej od tych okolic zimno już nigdzie tak wielkiem nie jest, więc dowiedziano się o istnieniu dwóch biegunów zimna północnego, z których jeden na naszej półkuli leży mniej więcej pod 115^0 długości wschodniej, drugi na północy Ameryki prawie pod tymże stopniem długości zachodniej. Czy z podobną symetrją są położone i bieguny zimna południowego — nie wiemy. Na północy symetrja ta jest widoczną.

Wschodni t. j. nasz biegun zimna północnego znajduje się w północno wschodniej stronie lądu azjatyckiego na północy ziemi jakuckiej.

(C. d. n.)

Gabrjel Tarde.

Z Paryża nadeszła wieść o śmierci głośnego socjologa, Gabrjela Tarde'a, który wywarł duży wpływ na współczesną literaturę naukową, dotyczącą badań społecznych.

Rozwój społeczny, zdaniem zmarłego socjologa francuzkiego, odbywa się dzięki wynalazkom i prądom naśladowniczym, które je utrwalają i rozszerzają wśród coraz szerszych kół społecznych. Spotykanie się prądów naśladowczych wywołuje nowe wynalazki, które podlegają znowu naśladownictwu i t. d.

Obyczaj i moda są formami naśladownictwa w czasie i przestrzeni. Tarde wyobrażał sobie, że życie społeczne, umysłowe i artystyczne na kuli ziemskiej stanie się w odległej przyszłości jednostajnem. Nastąpi wówczas ogólna niwelacja, która wytworzy zastój i chińszczyznę.

Twierdzenie powyższe Tarde w pracy swej p. t. „Les lois de l'immitation“ wypowiedział w sposób stanowczy, ale później w innem dziele p. t. „La logique sociale“ złagodził je nieco.

Dla Tarde'a społeczeństwo było nie organizmem biologicznym, lecz raczej organizmem psychicznym — mózgiem, posiadającym logiczne formy rozwoju.

Tarde widział w następujących po sobie wynalazkach pewną prawidłowość, nie umiał jednak jej zgłębić i nie oparł też swej teorji na szerszych podstawach.

Właściwie więc w poglądach jego nie spotykamy uzasadnienia prawidłowości rozwoju społecznego, a jego teorja jest właściwie negacją socja-

logji, gdyż najważniejsze zdobycze ludzkości przypisuje on nie głębszym przyczynom, tkwiącym w warunkach życia zbiorowego, lecz faktom indywidualnym (wynalazkom ludzi genialnych), przedstawiającym się nam jako przypadkowe, gdyż nie możemy uchwycić całkowicie ich przyczyn.

Tarde przypisał też zbyt wiele naśladownictwu, nie mogąc objaśnić dlaczego przy pewnych okolicznościach prądy naśladownicze rozszerzają się tylko w pewnych grupach społecznych, i dlaczego często niektóre idee nie mogą się rozszerzać w danych warstwach społecznych, lub narodach.

Mówiąc o przyszłości i o przypuszczalnej niwelacji społecznokulturnej nie dostrzegł tego, iż cywilizacja współczesna tak bogata w idee, chcenia i uczucia uniemożliwia jednakowe ich skojarzenie i objęcie przez wszystkie umysły. Tylko kiedy zasób pojęć, pragnień i uczuć jest bardzo mały, mogą się one łączyć jednakowo we wszystkich umysłach.

Jeżeli jednak teorja Tarde'a, jako całość, w owych punktach nie wytrzymuje krytyki, jeżeli nie odpowiada na najważniejsze pytania w dziedzinie socjologji, to jednak poszczególne jego poglądy są często bardzo oryginalne i subtelne.

Dzieła Tarde'a, pisane bez ścisłej metody, obfitują w mnóstwo bystrych spostrzeżeń i ujawniają wielkie oczytanie w różnych dziedzinach myśli ludzkiej.

W tej krótkiej notatce nie możemy ich roztrząsać i musimy poprzestać na ogólnem ich zaznaczeniu.

Tarde wsławił się także, jako kryminolog. Na szczególną uwagę zasługuje jego krytyka włoskiej szkoły antropologiczno-kryminalnej.

Także cenne są prace Tarde'a o psychologji mas i opinji publicznej. Najsłabsze zaś o psychologji ekonomji politycznej.

Tarde urodził się w 1843 r. był profesorem w Collège de France oraz naczelnikiem departamentu statystycznego w ministerstwie sprawiedliwości, brał czynny udział w towarzystwach naukowych. *L. K.*

MARJA JARMUND. 10)

Nasze ideały w XIX. wieku.

Dlaczego nauczyciele moraliści trzymają się jednego tylko przepisu Chrystusa, gdzie mowa „o miłowaniu wrogów i o darowaniu krzywdy“. Dlaczego nie zwracają się ze swemi napomnieniami do silniejszych i nie przypominają im, że Chrystus nie tylko mścić się, ale i krzywdzić nie pozwalał, a wreszcie dlaczego sami nie stosują się wcale do zalecanych innym przykazań. Chrystus wyraźnie powiedział, że gdy otrzymasz policzek, to nadstaw drugi. A przecież nikt go nadstawiać nie chce, za pierwsze uderzenie szuka zemsty w pojedynku, żeby zmyć krwią otrzymaną zniewagę, jakkolwiek znacznie chyba gorszą zbrodnią od nienawiści jest wydzieranie życia bliźniemu, za błahą nieraz obrazę. Dziki, barbarzyński ten obyczaj nie spotyka się jednak z surowem i bezwzględnem potępieniem owych moralistów, choć stanowi zakałę i hańbę naszych cywilizowanych czasów.

A cóż dopiero mówić o masowym mordzie ludzi, zwanym wojną? Któż go potępia? Czy to może w myśl zasad chrześcijańskich toleruje się rzezie dziesiątków tysięcy ludzi, dla rabunku, grabieży i zaboru, gdzie popełniane bywają za jednym zamachem odrazu liczne zbrodnie, które pierwej jeszcze i surowiej były zakazane, niż nienawiść i zemsta. Dlaczego przeciw nim nie prowadzi się krucjaty? Dlaczego tak znakomite nawet umysły, jak Bolesława Prusa, uczą tłumy, że „zaborczość nie jest zbrodnią“. Jeżeli jednak zaborczość nie jest zbrodnią, to chyba niema żadnych zbrodni na świecie. Zabójstwo bowiem jednego człowieka jest tylko niewinną igraszką wobec mordowania dziesiątek tysięcy ludzi, a okradzenie jednej kieszeni jest wesołą zabawką wobec ograbiania przemocą milionów spokojnych obywateli. Pobłażanie zaś takim, o pomstę do nieba wołającym gwałtom, z moralnością nie ma nic wspólnego i jest tylko bezwiednem korzeniem się przed siłą, przeżytkiem z barbarzyńskich i średniowiecznych czasów, kołaczącym się jeszcze w naszych umysłach. Wprawdzie nowożytna cywizacja coraz bardziej wysubtelniająca uczucia człowieka, obudziła już w olbrzymiej ilości dusz wstręt gwałtowny do tego zabytku dawnej zwierzęcej przeszłości człowieka. W ostatnich latach ubiegłego stulecia silny ruch się rozpoczął przeciw załatwianiu sporów w sposób godny drapieżników w lesie, a właściwie na większą zasługujący pogardę, gdyż zwierzę tylko ostatecznym przyciśnięte głodem rzuca się na swoją ofiarę, żołdak zaś z przyjemnością popełnia mordy, okrucieństwa i rozboje. Prąd ten tak był silny, że nawet car moskiewski uznał za stosowne zamanifestować obłudne swoje dla niego sympatje, zwołując konferencję pokojową do Hagi.

Nic tak, jak wojna, nie wytępia uczuć ludzkich i nie demoralizuje, czego najlepszym dowodem, że na to, aby z człowieka zrobić dobrego żołdaka,

trzeba w nim rozbudzić krwiożerczego tygrysa — nie, to mało: drapieżną hienę, i to nie dosyć — najwstrętniejszego szakala, inaczej na nic się nie przyda w wojnie. Jedynie żołnierz, broniący wolności i napadniętej przez wroga ojczyzny, wzbudza cześć, szacunek i ma prawo do nazwy bohatera.

Umoralnienie ludzkości więcej by zyskało, gdybyśmy pracowali nad usunięciem krzywd, niż wymagając za nie przebaczenia. Zawsze od tego powinno się zaczynać, co łatwiejsze. Na to, żeby nie krzywdzić, dosyć nie być łotrem, na to, żeby krzywdę przebaczyć, trzeba być prawie świętym. Jest to jedna z tych cnót, które do największej hipokryzji prowadzą. Wszyscy udają, że są nią głęboko przejęci i jedni ją drugim zalecają, ale nikt nie chce zacząć od siebie i nie wprowadza jej w wykonanie. Gdybyśmy sprobowali tylko ściśle trzymać się przykazań Bożych, codzień powtarzanych, a tak łatwych do wypełnienia, jakże inaczej świat by wyglądał.

A więc: nie kradnij — nie zabijaj, nie morduj — nie krzywdź — nie zazdrość nawet bliźniemu twemu i nie pożądaj tego, co jest jego własnością — nie napastuj, jeżeli chcesz się nazywać uczciwym człowiekiem. Ale za to, gdy jesteś napadnięty, to się broń! — Broń się rękami, nogami, zębami, broń się podstępem, chytrością, zasadzką, gdy idzie o obronę — każdy środek dobry. Nie dajmy w siebie wmawiać czego innego, bo hipokryzją i fałszem jest wielbienie mordów, a zasłanianie się Chrystusem i jego nauką, która ma służyć do chronienia od niebezpieczeństw rabusiów, żeby dzieło szatana mogło być dalej bez niepokoju prowadzone. Że zaś podstępu i zasadzki wolno używać do obrony, tego udowadniać nie potrzeba. Są to sposoby używane nawet przez napastujących od dawna. Zagłoba mówi ciągle o „fortelach“, a historja przekazała nam tysiące przykładów wprowadzenia wojska nieprzyjacielskiego w zasadzkę, gdzie wyginęło do ostatniego. Może jednak jakiś wielbiciel wojny uzna, że ona się innemi rządzi prawami, których zaniechać należy, gdy się walka skończyła. Na to odpowiemy, że się myli, ponieważ u nas trwa ona dalej, choć nie z bronią w ręku, i nie tak krwawa, ale boleśniejsza, niż dawniej, i obowiązkiem naszym jest wieść ją bez przerwy, dopóki nie doprowadzi do zwycięstwa, gdyż „walka o wolność gdy się raz zaczyna z krwią ojca spada dziedzictwem na syna!“ A wyrodnym jest syn, który się tego dziedzictwa wypiera. Czy ludziom, skrępowanym i znieważanym przez rozbójników, nie wolno dla uwolnienia się z tak upokarzającego położenia porozumieć się tajemnie między sobą i po uśpieniu czujności wrogów użyć podstępu i wyprowadzić ich w pole... Nie z d r a d z i ć — tylko w y p r o w a d z i ć w p o l e — powtarzamy wyraźnie. Dla tej ważnej przyczyny, że pomawiać kogoś o zdradę wobec wroga, jest prostym bezsensem. Można nieprzyjaciela oszukać, ukarać, zemścić się na nim, ale to wszystko nie nazywa się zdradą. Czemże bowiem jest zdrada, ta najnikczemniejsza z wszystkich zbrodni? — Jest to nadużycie położonego we mnie zaufania. Zdradza się zatem rodzinę, krewnych, przyjaciół, rodaków, ojczyznę. Ale zkądże mój wróg może mieć do mnie zaufanie? Jeżeli da się podejść, i zawierzy mi naiwnie, to tem gorzej dla niego, ale nie moja w tem wina, gdy dozna zawodu. (C. d. n.)

GABRJEL d'ANNUNZIO.

Ostatnie dni Kandji.

Było to w trzy dni po świętach wielkanocnych, które — według dawnego zwyczaju — wspaniale i suto obchodzono w domu rodziny Lamonica, znanej z gościnności.

Donna Krystyna Lamonica liczyła i chowała właśnie stołową bieliznę i srebro. Układając wszystko starannie do szaf i skrzyń rozmaitych, rozmyślała już o następnych wspaniałościach świątecznych.

Jak zwykle pomagała jej przy tej robocie służąca, Marja Bisaccia, oraz praczka Kandyda Marconda, powszechnie Kandją zwana.

Długi szereg koszów, pełnych wytwornej bielizny, stał przed niemi. Srebro i inne drobiazgi stołowe błyszczały w osobnym, szerokim a płaskim koszu. Świetności tych sreber nie przyćmiewała masywność ich staroświecka, ani kształty liturgiczne niemal, które im ręka miejscowych złotników nadała. Znać było, że służyły już wielu zamożnym pokoleniom tego rodu, na prowincji zasiedziałego. Woń jakaś, którą wydaje bielizna świeżo uprana, cały pokój napełniała.

Kandja wyjmowała z koszów świeże sztuki, jedna po drugiej, to grubsze to cieńsze obrusy i serwety, pokazywała je pani, a potem szybko wręczała służącej, która je w szufladach układała.

Skrapiając każdą niemal sztukę pachnącą wodą, pani zapisywała ich liczbę w księdze gospodarskiej.

Kandja była to pięćdziesięcioletnia, rosła, chudokoścista kobieta, o pochylonym grzbiecie i wydłużonych od pracy rękach. Głowa jej, przypominająca ptaka drapieżnego, osadzona była na szyi, którejby się żółw zaprzeć nie mógł.

Marja Bisaccia pochodziła z Ortony. Okrągła ta, pulchna dziewczyna przy swojej mlecznobiałej cerze miała jasne, błyszczące oczy. Mowa jej była powolna, spokojne też miała ruchy, jak pracownica, zajęta stale miesieniem ciasta, wysmażaniem słodkich soków lub wypiekaniem ciast.

Donna Krystyna pochodziła także z Ortony, gdzie się wychowywała w klasztorze Benedyktynek. Jej drobna postać miała w sobie coś sennego, włosy wpadały w odcień rudawy, na twarzy piegowatej sterczał nos ogromny; zęby miała popsute. Tylko oczy miała piękne, dziewicze. Wyglądała zresztą, jak ksiądz w spodnicy.

Trzy te kobiety pracowały pilnie; całe prawie popołudnie zeszło im przy tej robocie. A kiedy Kandja z próżnymi odeszła koszami, donna Krystyna policzyła srebro i przekonała się, że brakowało jednej łyżki.

„Marjo, Marjo! zawołała zdumiona — „Policz no łyżki! Brakuje jednej! Policz sama!

„To nie może być, proszę wielmożnej pani“, odrzekłą służąca. „Trzeba jeszcze raz policzyć“. Zaczęła więc jeszcze raz liczyć wszystko, dla pewności głośno każdą liczbę powtarzając.

Donna Krystyna stała, kiwając głową... A srebro dźwięczało w rękach Marji.

„Naprawdę!“ zawołała wreszcie bezradnie Marja zafrasowana. „Cóż teraz będzie?“ Ona sama wolną była od podejrzeń, pewna, że jej nikt posądzać nie będzie; wszak przez piętnaście lat służyła w tym domu wiernie, nienagannie. Sprytna ta zresztą służąca była wyprawną panną donny Krystyny, zajmowała też wyższe niby stanowisko wśród służby Lamoniców. Bardzo pobożna, zabobonna zarazem, ceniła przedewszystkiem świętych, czczonych w jej rodzinnej Ortonie. Między nią a jej panią istniało jakby skryte przymierze przeciw wszystkiemu, co pochodziło z Peskary. Szczególniej do patronów Peskary nie miały wcale zaufania.

Opowiadała też często o swojem mieście rodzinnem. Jakieżbo ono było piękne, bogate! Ta bazylika wspaniała! A ten skarbiec u św. Tomasza! A jak tam obchodzono i odprawiano nabożeństwa w kościołach! Nie tak jak tu, gdzie patron święty miał tylko jedną jedyną rączkę srebrną, jako wotum na ołtarzu zawieszoną.

„Szukaj jeszcze wszędzie!“ rzekła donna Krystyna.

Marja wyszła, by przewrócić wszystko do góry nogami w kuchni i hali. Lecz na próżno! Łyżki nie było.

„Niema nigdzie, niema!“ biadały, zaciekając się jeszcze w domysłach i przypuszczeniach. Poszły nawet na balkon nad praczkarnią, lecz łyżki nie znalazły. Tylko rozmową swoją głośną i rozpaczliwymi ruchami zaciekawiły różne osoby z sąsiedztwa.

„Co się stało, donno Krystyno, niechże pani nam powie!“

A kiedy nareszcie donna Krystyna wraz z Marją całą historję bardzo dramatycznie opowiedziały, rozległy się okrzyki;

„Jezus Marja! Złodzieje są w naszem mieście!“

Wieść o kradzieży rozeszła się też po całej Peskarze w okamgnieniu. Gdzie tylko jaka kupka ludzi stała, można było przysiądz, że rozmawiają o złodziejach i rozmyślają nad łyżką Lamoniców. A kiedy wieść o tem doszła do pobliskiego San Agostino, już nietylko łyżka, ale cała srebrna zastawa Lamoniców była skradzioną. Pogoda była śliczna, róże kwitły, ptaszki spiewały, a z pomiędzy wazoników, kwitnących w oknach, sąsiadki wystawiały główki, szczebiocąc ciągle jeszcze o łyżce Lamoniców. Nawet zaciekawione, na dachach siedzące, koty zaczęły przysłuchiwać się rozmowom.

A donna Krystyna łamiąc ręce wołała ciągle: „Kto to mógł ukraść tę łyżkę! Kto to mógł ukraść?“

Donna Izabela Sertale, którą dla jej szybkich ukradkowych ruchów „kuną“ zwano, pytała przyciszonym głosem: „A któż był wtedy w waszym domu, donno Krystyno? Mnie się zdaje, że widziałam wychodzącą od was Kandję...“

„Ahaaa! zawołała donna Felicyta Margasanta, dla swej szczebiotliwości „sroką“ nazwana.

„Aha!“ powtórzyły inne kumoszki.

„A że to pani na myśl nie przyszło?“

„Jak można było tak zapomnieć o tem!“

„Chyba pani nie wie, kim jest Kandja?“

„No, to ja pani powiem.“...

„Ależ z pewnością!“

„My wszystkie możemy przyświadczyć,“

„Trzeba jej przyznać, że pierze dobrze... Najlepsza na całą Peskarę, — tego jej nie można zaprzeczyć. Ale i to jest wiadomem, że ma długie palce... A pani o tem nie wiedziała — kochana pani?“

„Mnie raz przepadły w praniu dwa obrusy!“

„Mnie także jeden obrus.“

„Mnie koszula.“

„Mnie para skarpetek.“

„Mnie dwa pokrowce.“

„Mnie biała spodnica.“

„I nie mogłam dojść ani kiedy, ani jak.“

„Ja także nie.“

„I ja nie.“

„Ja jej nawet nic nie mówiłam, bo i kogoż tu wziąć do prania?

Czy Sylwestrę może?!

„Cha, cha, cha, cha!“

„Angelantonję może? Babasetkę?

„Trzeba cierpieć.“

„Ale łyżka — bójcie się Boga!

„Aa! to już za wiele!“

„Tego pani nie powinna darować, donno Krystyno — słowo daję!“

„Co darować!“ wykrzyknęła Marja Bisaccia, która była wprawdzie bardzo spokojną i dobroduszną istotą, lecz przecież nie mogła milczeć przy sposobności takiej jak ta i wiele innych, które się zdarzały w domu jej państwa. Nikomu też ze służby nigdy nie przepuściła, każdego w podejrzenie podać musiała. „O to my się postaramy, donno Izabelo, o tem my już pomyślimy“ — rzekła w końcu.

Tak wieść od ganeczków i okienek rozeszła się dokoła, z ust do ust podawana.

I oto policjant, zwany Kapralikiem, stanął nazajutrz w progach Kandji Marcandy, srogo zapracowanej przy balji, pełnej chust i mydlin.

„Masz się stawić zaraz przed panem burmistrzem w gminie“ rzekł do praczki.

„Co!“ zapytała Kandja, marszcząc tylko czoło i nieprzerywając roboty.

„Masz iść do pana burmistrza, do urzędu gminnego.“

„Ooo! a to po co?“ zapytała Kandja dość spokojnie, nie mogła bowiem jeszcze rozumieć czego od niej chciano.“

„Czy ja mogę wiedzieć“ rzekł Kapralik. „Mam taki rozkaz.“

„Jaki rozkaz?“

W osłupieniu swojem broniła się kobieta przed czemś, czego pojąć nie mogła, co było jednak czemś groźnem dla niej:

„Mam iść do burmistrza? Co ja zrobiłam? Ani mi w głowie! Ja nic nie zrobiłam.

„Tak! Ani ci w głowie? No, no! uważaj tylko,“ zamruczał Kapralik i ruszył zniecierpliwiony, z ręką na swej zardzewiałej szpadzie.

Tymczasem ludzie, słysząc sprzeczkę, powychodzili z domów i zaczęli przypatrywać się Kandji, która dalej prała spokojnie.

Wszyscy już słyszeli o srebrnej łyżce, to też poczęli stroić żarty i rzucać różne dowcipne słówka na temat kradzieży. Kandja wprawdzie nic nie rozumiała, lecz zaniepokoiły ją nareszcie te śmiechy i docinki, zwłaszcza gdy Kapralik znowu się ukazał i to w towarzystwie drugiego policjanta.

(D. n.)

Ulanów.

Wśród piasczystej i lesistej okolicy, wśród obszernych lasów iglastych, leży nad rzeką Sanem małe dziś miasteczko Ulanów.

San obejmuje je dwoma ramionami, bo płynąc od miasteczka Rudnika zwraca się nieco ku zachodowi i otacza jakby pierścieniem z dwóch stron miasteczko.

Z trzeciej strony tworzy granicę Ulanowa rzeka, płynąca z Kongresówki, znana Tanew, z czwartej tylko od strony wsi Bielin rozciągają się pola Ulanowskie.

Oko widza nie napotyka w tej okolicy pięknego widoku.

Wydmy piasczyste, bardzo obszerne iglaste lasy, których jednostajny szum tęskno dolatuje do ucha, smętny przedstawiają widok.

Nie wiele tu drzew owocowych, nie wiele kwiecia, nawet trawa nie tak zielona, nie taka jak w górach.

Ale mimo tego Ulanów o jakże hucznem i gwarnem tętnił niegdyś życiem.

Dawniej nadzwyczaj był on zamożnym, okoliczne lasy i spław na Sanie dostarczały bardzo wiele zarobku, to też szybko wzrastało miasteczko i rosła sława dzielnych flisaków.

Z czasem doszedł do tego, że pozyskał bardzo cenny przydomek „małego Gdańska“.

Początek osady sięga końca 16. wieku; o milę leży stara, bardzo dawna wieś Bieliny, niegdyś własność Ulińskich, Mniszków, Zamojskich, dziś p. Sękowskiego.

Dogodne miejsce dla spławu dawało możność wypoczynku, panowie z Bielin nadawali swej służbie w nagrodę okoliczne pola, aż wreszcie Stanisław Uliński, podczaszy ziemi przemyskiej, wyjednał u króla Zygmunta III., iż tenże 7. kwietnia 1616 roku podnosi tę osadę do godności miasteczka i nadaje mu różne przywileje, między innymi pozwala się rządzić prawem magdeburskiem. Opis przywileju znajduje się w aktach gminnych.

W r. 1618, aktem, w Sandomierzu sporządzonym, potwierdza Stanisław Uliński, że założył miasto nad Sanem i Tanwią, które nazwał Uliną.

Nazwa Ulina przychodzi ciągle w aktach aż po rok 1719.; od tego czasu nazywa się to miasteczko Ulanowem, które to nazwisko nosi po dziś dzień.

I wzrastało coraz bardziej miasteczko; na obszernym rynku stojące dziś resztki starego ratusza tworzyły dawniej ogromny gmach urzędu wójtowskiego i ławniczego a po dziś dzień istniejąca nazwa pola „szubienica" jest wymownym dowodem wykonywania przynależnych miastu praw.

Z dawnych budynków stoją obecnie trzy domy, budowane z początkiem 17. stulecia, nieco uszkodzone, ale kształt budowy, gzymsy dość wybitne.

Z aktów w urzędzie gminnym znajdują się tylko kopje przywilejów Zygmunta III i przywilejów na odbywanie rocznych jarmarków. I tak przywilejem zezwala Zygmunt III. na 3 główne jarmarki w niedzielę przed Wniebowstąpieniem Pańskiem, na św. Idzi i na święto św. Doroty; Władysław IV. przywilejem z 19. maja 1640. zezwala na dwa jarmarki na św. Jana Chrzciciela i na św. Bartłomieja; August II. przywilejem z 17. sierpnia 1713. zatwierdza 6 rocznych jarmarków — zaś cesarz Józef II. potwierdza dnia 16. lipca 1781 wszystkie otrzymane przedtem przywileje i zezwala na odbywanie aż 11 targów rocznie, co daje najlepszy dowód wielkiej żywotności i bogactwa tutejszego mieszczaństwa.

Pieczątka jest dość stara, na niej napis: „Magistrat miasta Ulanowa", a w środku herb Mniszków.

Prócz tego były dwie bardzo cenne księgi spraw radzieckich i wójtowskich, obecnie złożone w tabuli w c. k. sądzie powiatowym w Ulanowie. Jedna, folio, oprawna w skórę, bardzo dobrze zachowana z napisem na karcie tytułowej: „Protokół Spraw miasta Ulanowa in Mense 9-bri 1756—1789. Sporządzony".

Druga, wielka oktawa, oprawna w skórę, dobrze zachowana, tylko okładka osobna, zawiera 1431 stron pisanych i jest bardzo cennym zabytkiem, szczególniej w zakresie prawa swojskiego. Tytułowej kartki niema, jednak zdaje się że jest zaczęta przez Sebastjana Liaskowskiego, wójta Ulanowskiego w r. 1612, a więc na cztery lata przed przywilejem Zygmunta III.

Prócz tych ksiąg nie znajduje się nic ciekawego w sądzie, najstarsza księga ingrossacyjna jest z r. 1803. (D. n.)

Karol Notz.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Śp. Chmielowski jako tłumacz Kanta.* W listopadzie r. 1902 zwrócił się śp. Piotr Chmielowski do prof. Struvego, jako redaktora „Bibljoteki filozoficznej", z propozycją spolszczenia „Krytyki czystego rozumu Kanta". — „Działalność swoją na większą skalę — pisał — rozpocząłem od pracy psychologicznej („Geneza fantazji"), dlaczegoż nie miałbym zakończyć zawodu przekładem cudzego dzieła filozoficznego, kiedy mi się nie udało nic własnego dokonać na polu filozofji?" Setna rocznica zgonu królewieckiego mędrca wydała się znakomitemu historykowi literatury najodpowiedniejszym momentem przyswojenia najważniejszego jego dzieła. Przekładu, który się właśnie niedawno pojawił na półkach księgarskich, dokonał śp. Chmielowski z nadzwyczajną energją: umiał wszelkie trudności świetnie przezwyciężyć. Potrafił pogodzić ścisłość i wierność w oddaniu najsubtelniejszych odcieni oryginału z jasnością wysłowienia. Według prof. Struvego żadna inna mowa nie może się poszczycić równie pięknem tłumaczeniem dzieła Kanta.

SZTUKA. *Wit Stwosz.* Nakładem antykwarjatu Hiersemana w Lipsku, wyszło bogato ilustrowane dzieło Dauna o dziełach znanego snycerza z XV w. Wita Stwosza, wraz z poglądem na działalność jego syna Stanisława i uczniów, w szczególności „mistrza Pawła". Autor zebrał i podał w ilustracjach dzieła ich znajdujące się w Polsce, w Niemczech i Węgrzech, a mianowicie w Krakowie Gnieźnie, Poznaniu, Grybowie, a z miast niemieckich w Norymberdze, Monachjum, Szwabach, Hanowerze i t. d. Z książki tej, będącej ważnym przyczynkiem do historji sztuki u nas, wynika, że na ziemiach polskich znajduje się dwadzieścia jeden dzieł Wita Stwosza i syna jego Stanisława w formie nagrobków, ołtarzy, posągów i t. d.

Z drukarni W A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.